

## Varia

---

### Dariusz Vasina

Akademia Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie  
<https://orcid.org/0000-0002-6589-4135>  
vasinad@gmail.com

# Kartki z podróży. Wenecja w listopadzie

Pamiętam pierwszy wyjazd do Włoch w 1987 roku. To był także mój pierwszy lot samolotem, pierwszy dorosły wyjazd na tzw. Zachód, który paradoksalnie znajdował się na południu. Pamiętam zdziwienie, że po dwóch godzinach lotu jestem tak niewyobrażalnie dla mnie wtedy daleko. Jakby samolot nie przemierzał rzeczywistej przestrzeni, tylko niczym podłużny portal w kształcie cygara przenosił nas w ułamku sekundy w dowolne miejsce na Ziemi. Czas samolotowej podróży nie zgadzał mi się z przebytą odległością i do dziś — powiem szczerze — ten dysonans mnie drażni, mimo iż jest tak bardzo praktyczny. Oślepiające słońce, uderzenie suchego, gorącego powietrza, nowe, egzotyczne zapachy.

Byliśmy tak oszołomieni, że wujek mojej dziewczyny, który odbierał nas z lotniska, w pierwszym napotkanym barze kupił nam piwo i kazał wypić duszkiem. Wieczorem, on i jego żona zabrali nas do pobliskiego miasteczka. Było święto Ferragosto, pierwszy dzień wakacji, który Włosi obchodzą uroczyście. W miasteczku mnóstwo młodych ludzi, w powietrzu zapachy łakoci, delikatesów, Orientu, przygody i tajemnicy, głównie rozchodzące się z otwartych do późna cukierni.

---

#### Informacja o artykule / Article Information

Otrzymano (Received): 26.11.2021 • Przyjęto do druku (Accepted): 6.12.2021 • Opublikowano (Published): Grudzień (December) 2021

Poczułem się, jakbym wylądował na innej planecie. Wychodząc z samochodu, musiałem oprzeć się o drzwi i ze zdziwieniem zauważyłem, że nogi mi się trzęsą.

Wychodząc z lotniska Wenecja-Treviso trzydzieści cztery lata potem, także poczułem, że jestem „gdzie indziej”. To „gdzie indziej” to nie była inna temperatura czy egzotyczne zapachy, to „gdzie indziej” stało się tak bardzo namacalne, gdy kierowca autobusu zamiast na nas zatrąbić, patrząc spod półprzymkniętych oczu, powoli, jakby od niechcenia machał ręką z prawa na lewo, cierpliwie czekając, aż zbierzemy nasze rozłożące się obozowisko złożone z waliz, walizek, toreb i plecaków i damy mu wreszcie przejechać na przystanek pełen czekających, świeżo przybyłych turystów. Wszak rozłożyliśmy się z naszymi bagażami prawie na środku ulicy i jak zwykle w takich sytuacjach coś zaczęło z walizek i plecaków wypadać, wyłazić, uciekać, nie dało się ich zamknąć, nie mogliśmy czegoś ciągle znaleźć. A mógł nas zrugać jak burą sukę, napluć na głowę, zwyzywać od różnego rodzaju elementu anatomicznego męskiego, wychylając głowę przez okienko, pokazać spoconą, czerwoną, napuchniętą z nerwów twarz, niewątpliwie na granicy udaru i rozchlapując na lewo i prawo ślinę, drzeć się, usiłując przekrzyczeć dźwięk klaksonu, już wcześniej wbiętego razem z kierownicą gdzieś w okolice silnika.



Z Piazzale Roma, gdzie dotarliśmy autobusem, postanowiliśmy dojść do mieszkania na nogach. Objuczeni plecakami, ciągnąc walizki na kółkach, które to kółka, zapewne robiąc nam na złość, raz obracały się bez zarzutu, raz blokowały z niewiadomych przyczyn. Skutkowało to „obieraniem marchewek”, zgubieniem rytmu kroków i ogólnym poplątaniem nóg. Szliśmy przez listopadową Wenecję, wznosząc się i opadając, zgodnie z rytmem schodów przecinających arterie kanałów. Pędziłem z plecakiem, który nie był najlżejszy, ciągnąc walizę, która nie była najmniejsza, pokonując co jakiś czas platformy poukładane na schodach po to, by ułatwić ciągnięcie bagaży na kółkach. W górę i w dół, w górę i w dół. Czułem się trochę jak Dante podróżujący po kręgach piekielnych w zaświatach (z różnicą, że te kręgi weneckie były całkiem sympatyczne), a trochę jak Neo w pierwszej części *Matrixa*, uciekający przed agentami po pofalowanym dachu. Usiłowałem wpatrywać się w oświetlone wnętrza, kolorowe, otwarte do późna trattorie, bary i restauracje, patrzyłem na ludzi przy stolikach, wpatrywałem się w twarze o czarnych, wielkich oczach, lekko garbatych nosach, twarze o oczach skośnych, twarze czarne jak heban, wyobrażałem sobie, kim są, jaką niosą

w sobie historię, jaki los ich czeka, byłem spocony jak prosię, zmęczony, ale szczęśliwy.

Wenecja, oświetlona ciepłym, ciężkim światłem z lamp ulicznych, pełna chodzących w tę i we w tę po wąskich uliczkach ludzi, siedzących przy stolikach na zewnątrz, pijących pomarańczową małmazję, wyglądała niczym wielka poczekalnia zastygła w czasie, gdzie wszystkie rasy świata spotykają się i zabijając leniwie czas, oczekują na spóźniający się koniec świata.



Z dużych, półkoliście zakończonych okien mieliśmy widok na niewielki, pusty placyk. Placyk w istocie był pusty, była na nim kamienna ławka i bodajże zamknięta studnia, obie umiejscowione jakoś tak bardziej po prawej stronie, nie na środku. Placyki w Wenecji są różnego rodzaju, są wielkie jak San Marco, są średnie, przy których często są bary i trattorie ze stolikami wylewającymi się na zewnątrz, nierzadko z jakimś pomnikiem na środku. Są i niewielkie, moje ulubione, pojawiające się znienacka, poukrywane, z którymi spotkanie jest zawsze miłym zaskoczeniem. Często mają na środku drzewo lub dwa, często studnie przy której można spocząć i zjeść *ischetti* czy napić się noszonej w plastikowej butelce, lekko nieświeżej wody. Są jak oazy pomiędzy pustynią niekończących się wąskich uliczek i korytarzy. Bywają piękne, otoczone niezwykłymi budynkami przypominającymi wyroby szalonego cukiernika, bywają ciekawe przez swą intymność.

Nasz był pusty. Nie było przy nim żadnego baru, żadnego sklepy, nawet pół drzewa. Tylko trattoria z drzwiami dawno na głucho zamkniętymi przypominająca czasy świetności bądź będąca znakiem chybionej inwestycji, dotkliwej finansowej porażki. Stary szyld w kolorze weneckiego różu i brudne szyby niczym zabrudzone okulary. Pustkę naszego placyku szczególnie odczuwałem rano, tuż po przebudzeniu, w absolutnej ciszy, która, wypełniając placyk, wylewała się z niego do otaczających go mieszkań i moich uszu.



Na rogu placyku siedział mężczyzna. Miał czarne, plastikowe krzeselko, które zawsze przynosił ze sobą. Nie był mieszkańcem otaczających placyk domów, pojawiał się około okolicach 8.00 rano. Oprócz krzeselka przynosił szklanekę piwa i papierosy. Piwo i papierosy sukcesywnie uzupełniał w ciągu dnia w pobliskim sklepie spożywczym 50 metrów

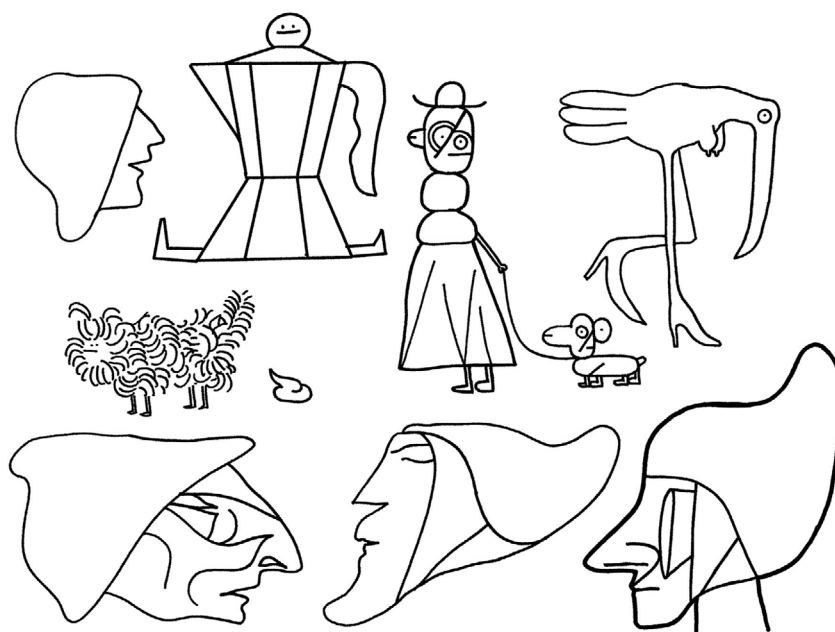
dalej. Ubrany był w lekką kurtkę puchową, raz granatową, raz czarną. Miał siwiejące, ciemne, kędzierzawe włosy, lekko przymknięte ciemne oczy i dość szerokie usta. Mógłby być aktorem z filmu o włoskiej mafii, choć może bardziej przypominał z twarzy Zampano z *La strady* Federica Felliniego. Ruchy miał zdecydowane, głos donośny, mocny, zachrypnięty. Był wysoki i szczupły, w jego twarzy była pewna surowość i zacięcie, które miały sukcesywnie w miarę upływu dni. Panie z naszej wycieczki twierdziły, że nie miał zębów, ale ja myślę, że to spostrzeżenie jest mocno przesadzone. Mężczyzna siedział na rogu, więc gdy wychodziliśmy z domu, aby do niego dojść, trzeba było przejść jakieś 20 metrów i te 20 metrów trochę zaczęło mnie krępować. Usiłowałem na niego nie patrzeć, no bo jak tu patrzeć i machać już od bramy? Szedłem, rozglądając się na lewo, na prawo i dopiero będąc parę metrów od niego, patrzyłem mu prosto w oczy i mówiłem: — Bondziorno! On odpowiadał: — *Buongiorno!* — śpiewnie, ale jakby z godnością i tak prowadziliśmy ten nasz dialog przez parę dni. Potem jego *buongiorno!* zamieniło się w cieplejsze *buongiorno*, bardziej śpiewne i wesołe, a po dwóch dniach pojawiło się: *Ciao!*, jakbyśmy się znali od stu lat jak łyse konie. Mężczyzna zaczął się uśmiechać, a kiedy się uśmiechał, zniknęła mu z twarzy mafijna surowość płatnego zabójcy, śmiały mu się oczy, śmiała się cała twarz tym słonecznym, cudownym uśmiechem, jakim potrafią się śmiać tylko południowcy. Myślałem o nim przez cały pobyt, zastanawiałem się, dlaczego około czterdziestoletni mężczyzna siada codziennie na pustym placu, na rozkładanym, plastikowym krzeselku, pali papierosy, pije piwo i siedzi tak aż do zmroku.

Gdy wyszliśmy z bramy po raz ostatni, objuczeni bagażami, jak zawsze zanim do niego podszedłem, strzelałem spojrzemiami po bokach, udając, że widzę tam coś niezwykle interesującego. Podchodząc, spojrzałem mu prosto w oczy i powiedziałem: — *Arrivederci Signore!* On uśmiechnął się i wydaje mi się, że był to uśmiech smutny: — *Arrivederci! Have a good trip!* — odpowiedział nasz Anioł Stróż, po czym szedł za nami aż do połowy via Garibaldi. Nigdy nie opuszczał swego krzeselka przez cały dzień, więc zaczęliśmy się trochę niepokoić. Nawet nie zauważyliśmy, kiedy zniknął.



Jeśli miałbym wymieniać zwierzęta, które spotkałem w Wenecji, to z racji sentymentu, a właściwie „antysentymentu”, na pierwszym miejscu wymienilibym gołębie. Gołębie weneckie wizualnie nie różnią się od krakowskich, różnią się od nich natomiast mentalnie. Gołąb wenecki jest

sprytny i szybki. Idąc z przodu, wygląda jak intensywnie myślący naukowiec lub profesor z założonymi rękami do tyłu. Gołąb wenecki plącze nam się między nogami i wyjada okruszki, gdy siedząc przy stoliku, pijemy espresso, a my nawet nie zdajemy sobie z tego sprawy. Taki jest cwany i zwinny (*piccione flessibile e agile*). Kiedy tylko odejdziemy od stolika, gołąb błyskawicznie przy nim / na nim siada, „pałaszuje” niedokończoną kanapkę z salami, dopija kawkę oraz aperitif, cmokając. Robi to szybko i profesjonalnie. Od czasu do czasu zrzuci filiżankę, lecz myślę, że nie chodzi mu o to, żeby narażać właściciela na koszty, nie robi też tego przypadkowo. To raczej takie karesy, gra wstępna z właścicielem baru, gołąb go po prostu kokietuje.



Rys. 1. Dariusz Vasina, *Signiore Espresso i przyjaciele*

Gołąb wenecki jest przeganiany przez wenecką mewę (choć nigdy takiej sytuacji nie widziałem). Mewa wenecka najpewniej czuje się w kawiarni na Biennale, takiej, gdzie stoliki stoją na otwartym powietrzu. Tam mewa rządzi, tam mewa to jest boss, czuje się jak u siebie w domu, a irytację klientów ma za nic. My tam naprawdę siadamy i jemy tylko dlatego, że ona nam pozwala. Mewa jest na pozór leniwa, a naprawdę — bystra. Jedno oko ma przymknięte (to od naszej strony), drugie — ciągle w stanie czuwania. Myślicie, że mewa jest bezczelna, kiedy na stoliku

siada, wyrywa nam panini z dłoni, kawki sobie łyknie, a ona przychodzi po swoje. Zazwyczaj czeka i obserwuje. Zgubiony ten, kto na moment oddali się od stolika, żeby wyrzucić chusteczkę do kosza. Po powrocie nie ma buły, nie ma pysznego salami, nie ma serka, *aperol spritz* wypity (widziałem na własne oczy), filiżanka rozbita (mewa bez skrupułów naraża właściciela na koszty). Potem taka mewa siada na parasol nad stolikiem i usiłuje utrzymać równowagę, tańcząc przy okazji rodzaj ptasiego tanga solo, co tak naprawdę jest rozpaczliwą próbą uniknięcia spektakularnego fajtnięcia zakończonego zaryciem dziobem w trawnik.

Mewa wenecka jest przeganiana przez weneckie pieski (nigdy takiej sytuacji nie widziałem), a musicie wiedzieć, że w Wenecji pieska posiada prawie każdy. Kotów prawie nie ma. *Oh scusa!*, raz widziałem, za szybą, na wystawie, ale się prawie nie ruszały, na pewno otumanione opium albo czym innym, żeby te psie spojrzenia wszystkie wytrzymać się dało. Psy weneckie przeróżne, najczęściej widziałem takie malutkie, włochate, nie wiadomo, gdzie brwi, gdzie wąsy, gdzie głowa, gdzie tył. Ubarwienie od bieli po ugier złoty. Jednak widziałem też rasy, jakich u nas nie uświadczysz, coś pomiędzy psem a słoniem, ogary z piekła rodem, amstaffy, czy jakby takie podobne, ale nie takie jak u nas, z dużo ładniejszymi proporcjami i takie bardziej przyjazne. Psy tu jakoś takie bardziej kulturalne, leżą przed sklepami, czytają *Śmierć w Wenecji* Tomasza Manna, czekają cierpliwie, aż właściciel zrobi zakupy. Często też (podobnie jak u nas) pies jest dopełnieniem wyglądu właściciela, czasem właściciel psa. Generalnie psy są tutaj traktowane przedmiotowo, można by rzec, obok spodni, sukni, płaszczka z futrzanym kołnierzem, kapelusza z piórem czy wyrafinowanych szpilek od Manolo Blahnika jako żywy element ubioru. Często mijając psa i jego właścicieli, widziałem ten wzrok mówiący: „popatrz na psa, a teraz na mnie, a teraz znowu na psa. I co? Drżysz? Niezły z nas duecik z piekła rodem, *vero?*”

Psy weneckie często boją się weneckich lwów (choć nigdy takiej sytuacji nie widziałem), które są prawie za każdym rogiem, kudłate, mniej kudłate, ze skrzydłami oraz bez. Wpatrują się w nas, usiłując odgadnąć przyszłość tysiącami wyrzeźbionych i namalowanych bystrych oczu. Najbardziej lubię cztery lwy dzielnie strzegące Arsenału. Kocham je oglądać. Pierwszy – dumny, patrzący mi prosto w oczy bez lęku, z lekką wyższością i odrobiną pogardy, drugi – nadal jeszcze z bujną grzywą, lecz odwraca głowę od pierwszego, patrząc z niepokojem na trzeciego. Jeśli przyjąć narrację, że te cztery pomniki to cztery kolejne momenty w czasie, to ten drugi wyraźnie martwi się bardziej przyszłością niż jest dumny z przeszłości. A i ma się czym martwić, trzeci – o Matko! – wstał z kolan, wyraźnie widać jednak, że coś poszło nie tak, ponieważ łysy jak

kolano, chudy jak patyk, mina dramatyczno-komiczna, lepiej było nie wstać. Czwarty to już katastrofa, to nic, że się osunął z powrotem na ziemię, najgorsze, że mu głowę inną przykręcili, inną w kolorze, a inną w formacie. Wyobraźcie sobie, że mieliście wypadek, obcięto Wam głowę i jej nie znaleziono. Medycyna jest już na takim poziomie, że można zrobić implant. No i chirurg przez pomyłkę przyszył Wam głowę chińskiego dzidziusia. Niby wszystko działa, ale jak tu się ludziom pokazać. Stojąc przed lwami przed Arsenalem, miałem myśl, że te cztery pomniki to cztery okresy w życiu mężczyzny. No i miałem popsuty cały dzień.



Rys. 2. Dariusz Vasina, *Grupa Dożów wyprowadza lwa na spacer*

80

Włosi są totalnie wyluzowani i nie jest to absolutnie żadna nowość. Kochają życie i kochają siebie. Nie warczą na siebie, mają „dłuższy lont”, to znaczy nie wściekają się po pół sekundy o byle drobiazg. Cały czas pozdrawiają się na ulicach.

Gdy jak co rano siedzieliśmy, „wcinając” *cornetto* z marmeladą i popijając kawę w Barze *Mio* przy via Garibaldi, jechała dziewczyneczka na małym, różowym rowerku. Była tycia, nie większa od ratlerka w cylindrze. Gdy podjechała do baru pisnęła, ile sił w tych płuckach: — *Ciao donna*

*Francesca! — Ciao Amore! —* ryknęła barmanka, a później co chwilę niosło się przez całą *via Garibaldi: Ciao Principessa! Ciao amore!*

Dziękują sobie w kółko pod byle pretekstem. W wejściu do delikatesów, gdzie uliczki między półkami były wąskie na podobieństwo uliczek weneckich, mogła przejść tylko jedna osoba. Zawsze (bez względu na wiek) przepuszczano mnie z uśmiechem i donośnym *prego*. Na początku trochę się niepokoiłem, czy nie wyglądam na takiego, którego lepiej puścić przodem, potem zrozumiałem, że u nich jakimś cudem myślenie o innych, empatia nie uschła i nie odpadła jak stary badył, którym my, w naszym kraju, naparzamy się nieustannie o byle drobiazg.

Włosi siedzą w barach i piją *aperol spritz* już od południa, i to nawet w listopadzie. Uwielbienie pomarańczowego napoju jest dość powszechne, prawie tak powszechne jak uwielbienie rozmów i wspólnych spotkań. Wiem, większość przy stolikach to z pewnością turyści, chociaż widziałem też miejsca pełne „lokalsów”, chłodzących „szprycerami” ekscytujące ich rozmowy. Knajpy pełne ludzi, obok ludzi — siaty z zakupami. Gadają, śmieją się, a nie widziałem nigdy ani „pół pijanego”.



Pizzę w czasie tego wyjazdu jedliśmy cztery razy. Pierwsza, bardzo smaczna, została „spalaszowana” w przypadkowo spotkanej trattorii podczas naszej odysei z bagażami z Piazzale Roma do mieszkania. Czarnoskóra kelnerka, piękna kobieta o pełnych kształtach, mówiąca perfekcyjnym włoskim i angielskim w mig uszykowała dla nas stolik na osiem osób. Podając pyszną pizzę, zagadywała dowcipnie. Jedliśmy pizzę szczęśliwi, zapijając smacznym czerwonym, domowym winem. Było bosko. Tuż po posiłku dostałem „odrzutowy napęd”, tak że mnie nie mogli dogonić. Z siadaniem w niesprawdzonych miejscach jest jak z „rosyjską ruletką”. Tym razem mieliśmy szczęście.

Następny razem niestety już nie. Restauracja nazywała się *Biennale* i to już było ostrzeżenie, które zignorowaliśmy. Wybaczcie, nie chodzi o uprzedzenia, ale jeden kelner wyglądał jak średniowieczny mnich z Alzacji, a drugi jak wojownik z eposu o Ramajanie. Jednak to nie ma wielkiego znaczenia, nasz niepokój powinno wzbudzić ich zachowanie, byli nienaturalnie mili, miałem wrażenie, że wkoło się kłaniali, śmiali nie w tych momentach co trzeba, nie dało się ich złapać za fartuch, tacy byli śliscy. Niewiele minut później przyszły pizzę poprzedzone dość przykrym zapachem starego przypalonego tłuszczu i czegoś jeszcze, co było zapewne — jak to się mówi — „drugiej świeżości”. Pizza, którą dostarczono z ukłonami i z poważną miną, miała spód o konsystencji średnio



wypieczonego frisbee. Można by też zrobić z niego całkiem solidne podszwy. Wino było podłe, rachunek wysoki. A my... no cóż bawiliśmy się setnie, żuliśmy frisbee, zapijając podłym „sikaczem”, kompania była doborowa, nikt nie chciał psuć wieczoru narzekaniem.

Najlepsza pizza, jaką jadłem w Wenecji, jest na wynos. Mały lokalik przy wspomianej wielokrotnie via Garibaldi, znanej przede wszystkim studentom i pedagogom szkół artystycznych z rozlewni pijalnego, taniego *prosecco*. Pizzeria zwie się trochę z czeska: *Nevadi* – łatwo zapamiętać. Ceny znośne, a pizza wedle mego gustu wybitna. Na cztery wybrane czekaliśmy nie dłużej niż 10 minut.

Ostatnią pizzę we Włoszech zjedliśmy w lokalu nieopodal lotniska. Była lepsza niż ta najgorsza, frisbee było bardziej gumiate, więc łatwiej się gryzło i przełykało.

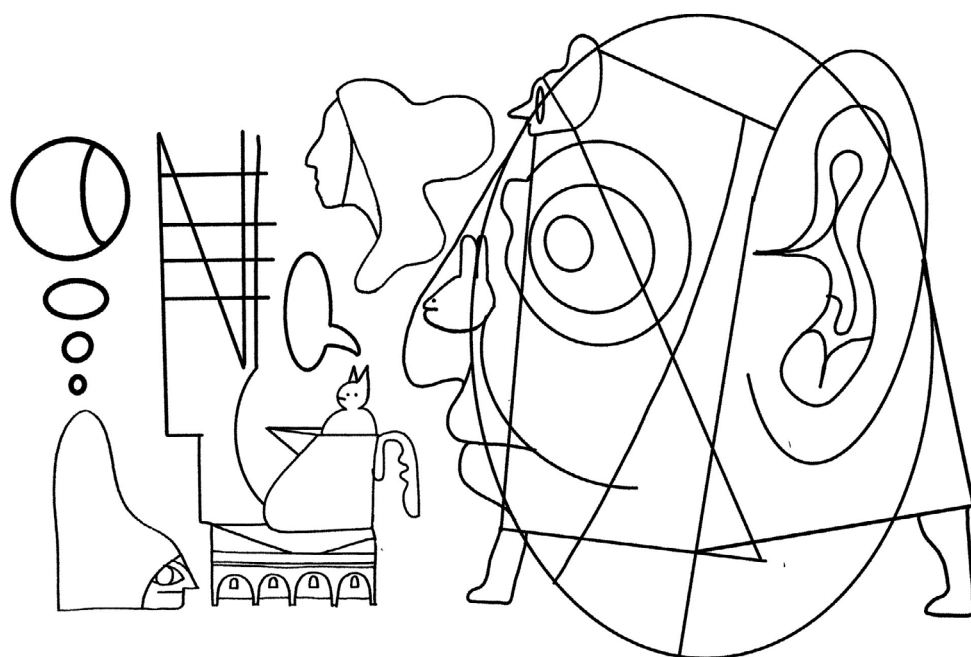


Przetrwać Biennale jest jak przetrwać Wielką Pardubicką lub dotrzeć do końca jak w filmie *Czyż nie dobija się koni?* Człowiek po obejrzeniu paru pawilonów tęsknym wzrokiem wodzi za biennialową kafejką i jakimś dziwnym trafem ta biennialowa kafejka zaczyna się pojawiać coraz częściej na drodze zwiedzania, staje się ważna niczym automat z wodą mineralną na pustyni. Pobytu w niej zaczynają się przedłużać pomimo wysokich cen kanapek. Człowiek z niedowierzaniem zauważa, iż obserwowanie ślizgającej się na parasolu jak na łyżwach mewy sprawia mu więcej przyjemności niż zaliczanie kolejnego nudnego pawilonu.

Powiniennem właściwie zacząć od tego, że tym razem wybraliśmy się nie jak zazwyczaj na Biennale Sztuki, tylko na Biennale Architektury, o którym wielu moich znajomych opowiadało, że jest ciekawsze, mądrzejsze – jednym słowem lepsze. Nie wiem, czy to kwestia tegorocznej edycji, czy kwestia tego, że pojechaliśmy już mocno zmęczeni, czy też kwestia tego, że nie jestem specjalistą od architektury, ale wynudziłem się w Giardini jak mops. Po obejrzeniu paru pawilonów nie miałem siły czytać niekończących się opisów, o co tu chodzi, zatroskanych wyznań o losy świata. Ślaniając się na nogach, usiłowałem zaliczać narodowe pawilony jeden za drugim. Zdziwienie wzbudziło we mnie mało architektury w architekturze w Biennale Architektury, więc tam, gdzie ją znajdowałem, wzbudzała we mnie zachwyty swą prostotą, współczesną formą, przyjazną funkcjonalnością. Drażniły mnie projekty artystowskie, wydumane, nadęte i niczym. Dużo projektów wyglądało trochę, jakby było zrobionych za karę, z małą ilością środków, niechlujnie. Widziałem dyplomy magisterskie, które były ciekawsze. Dużo lepiej było w Arsenale, lecz może po prostu

nie jestem specjalistą, pewnych rzeczy czy przekazów nie odczytuję z racji mojej niekompetencji w tej dziedzinie.

A może poprzeczkę postawiłem za wysoko? Od lat słyszałem, że Biennale Architektury jest świetne, więc wyobraziłem sobie imprezę wyznaczającą nowe trendy, futurystyczną, szaloną, niczym projekt mauzoleum Newtona Etienne-Louisa Boule'a, lecz także ukazującą projekty praktyczne, funkcjonalne, dającą odpowiedź, dokąd zmierzamy. Wszak na horyzoncie kłębią się ciężkie, ołowiane, deszczowe chmury.



Rys. 3. Dariusz Vasina, *Niefart na placu św. Marka*

∞

Po Biennale pobiegliśmy tradycyjnie do Peggy Guggenheim Museum. Postaliśmy trochę przed jej grobem. Miałem moment grozy, jak spojrzałem na litery wykute w sentencję: *My Babies*, dwukropek i pod spodem nacię imion, pomyślałem: „Jezus Maria! Rodziła jak króliczyca! I wszystkie młodo umarły. Znaczy chorowite były, może geny słabe.” Potem się zorientowałem, że chodzi o pieski, może też kotki... W środku wystawa czasowa zestawiająca stare rzeźby afrykańskie, oceaniczne, indiańskie

z obrazami europejskiej moderny. Cóż powiedzieć? Jeden zero dla rzeźbiarzy z wysp i Afryki. W kolekcji stałej cudowny Picasso, deliryczny Foujita, świetny Dali, bo wczesny.

Na drugi dzień wiedzeni za nos przez aplikację poszliśmy do Carpaccia, do Gallerie dell'Academia. Widać tu też nazwa „Gallerie” odnosi do galerii handlowej, ponieważ aplikacja jak po sznurku poprowadziła nas do miejsca, gdzie „karpaczio” był, ale obłożony lodem, leżąc obok „szczupaczio”, „płaszczcio” i „ośmiorniczio”. Ten właściwy był dwadzieścia minut dalej. Gdy dotarliśmy do Gallerie dell'Academia, musiałem chodzić z plecakiem z przodu, jak z niemowlaczkiem, bo szatnia nieczynna, pewnie przez pandemię. Pół godziny później z powodu zmęczenia i bolącego kręgosłupa mało nie przegapiłem sali z Carpacciem. W drodze do Carpaccia cudowny, maleńki portret Memlinga bardziej żywy niż zdjęcie, *vis-à-vis* Piero dela Francesca, nieduży, jak zwykle przykuwający uwagę niezwykłą formą i nieziemskim kolorem.

Cykl z życia św. Urszuli namalowane przez Carpaccia w latach 1490–1495 ogląda się z zapartym tchem – jest lepszy niż najlepsze serie, śmieszny, budzi grozę, wciąga na długie minuty. Zawsze tu pędzę po Biennale, tu nie mam żadnych wątpliwości, zachwyty wypełniają mnie od małego palca u nogi po przyszcz na czubku głowy. Twarze z cyklu o życiu św. Urszuli są jak te, które mijałem pół godziny temu na Piazza di San Marco, a pieski takie same jak te, które chwilę temu usiłowały mi porwać kanapkę jedzoną w pośpiechu, jakby czas nagle przestał istnieć.



Kocham Wenecję za dziwaczność, kocham za lwy i kościoły, kocham za Biennale i jedno, i drugie, kocham za widoki niezmienione od stuleci, kocham za *aperol spritz* i za małe placyki, za pyszne (gdziekolwiek je zamówię) espresso, za kuriozalne pieski, wszędobylskie mewy, chichrające się jak dziecko, które się napiło szaleju, powietrze z morską bryzą i obrazy Carpaccia. Od listopada 2021 kocham ją za to, że w czasie naszego pobytu nie padało, mimo że prognoza pokazywała, że ma padać nieustannie.



Podczas wejścia do samolotu, który zmienił logo, z harfy na podejrzenie uśmiechniętą pszczołkę, nie mogliśmy ukryć zdziwienia. Samolot miał wygląd, jakby został wyczarterowany od przedszkola. Paru krewkich, młodych ludzi zaczęło na głos wykrzykiwać swe pretensje i obawy,

jeden z nich klął jak szewc, wulgarnie, na głos, na cały samolot. Nadymając policzki, prychnął, jednocześnie „podkręcając” się nawzajem dwóch naszych bohaterów twierdziło, że na pewno będziemy przez tę zmianę logo płacić więcej za bilety, że rząd podniesie podatki, że ten samolot zawiezie nas na granicę z Białorusią. Zlepek idiotycznych bzdur naznaczony bluźnierstwem wobec umierających na granicy ludzi. Pano wie darli się głównie do ucha Bogu ducha winnej stewardessy. Znosiła to dzielnie, uśmiechając się smutno.

Po przylocie do Krakowa wszyscy ustawili się w długiej kolejce, aby pokazać paszporty covidowe. W ułamku sekundy, gdy przyszła moja kolej, spojrzałem na telefon, aby otworzyć aplikację. Gdy podniosłem głowę, zobaczyłem plecy bardzo eleganckiej młodej damy, która bez pardonu, wykorzystując mój moment zawahania, wepchała się do kolejki tuż przede mną. Poczujęm, że jestem już w domu.